№ 6. Wilno, dnia 1 marca 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Chrzest Polski.

Na polskiej ziemicy,
W kneziowej stolicy,
Kołodziej Piast rządy stanowi;
A po nim Piastowie,
Rolnika wnukowie,
Przewodzą polskiemu ludowi,

Za króla dobrego,
Za Mieszka Pierwszego,
Narody dokoła chrześcijańskie,
A tylko Polacy,
A tylko rodacy
Wciąż wierzą w swe gusła
[pogańskie.

Lecz Mieszko zaradzi,
Tej swojej czeladzi,
Żywota ją zdrowiem obdarzy:
Po Wiary więc słowo
W dziedzinę Czechową
Wysyła on swoich włodarzy.

I prośby szle rzewne,
By czeską królewnę
Dąbrówkę za żonę mu dano.
Królewna cnotliwa
Do Polski przybywa,
Skarb wiary przywozi za wiano

I odtąd królowi
I jego ludowi
Dąbrówka zbawienie wciąż głosi,
Aż znikną bałwany,
I krzyż ponad łany
Ochrzczonej ojczyzny się wznosi.

Róża Brzezińska.

Jak się ludzie dawniej uczyli.

Czytelnicy Gwiazdki piszą często, iż najlepiej lubią czytać o tem, co kiedyś było. Opowiemy więc wam z jakim trudem dziadowie i ojcowie wasi zdobywali naukę.

Dziwi może to niejednego z was, dlaczego tak mało ludzi wiejskich wśród starszych umie czytać? Jeszcze czasem, ktoś niby przeczyta jaką modlitwę w książce do nabożeństwa, ale nie wielu jest, którzyby dobrze, płynnie i wyraźnie czytali gazety i książki.

Cóż to znaczy? Czyżby wasi ojcowie i dziadkowie nie chcieli się uczyć? Wcale nie. I oni tak jak wy obecnie biegliby chętnie i wesoło do szkoły. Lecz tej szkoły dobrej, kochanej szkoły polskiej nie było u nas. Byliśmy wszyscy wraz z ziemią naszą w niewoli moskiewskiej. Moskal zamykał nam kościoły, wywoził dobrych naszych kapłanów w głąb Rosji, by nie było nikogo, ktoby biednym ludziom dał dobrą radę, pouczył ich jak mają postępować, jak uczyć i wychowywać dzieci. O szkole polskiej i mowy być nie mogło. Polakami nie wolno było waszym ojcom i dziadom nazywać się, a jeśli który odezwał się gdzieś po polsku, w jakim urzędzie, lub nawet we własnej gminie, to go skazywano na karę pieniężną lub zamykano w więzieniu.

Po miastach jeszcze łatwiej było dzieci uczyć po polsku, tam były tajne szkoły, w których młodzież: studenci i panny zamożniejsze w różnych kryjówkach uczyli dzieci czytać i pisać po polsku. Ale i tego wiele nie było. Na wsi chyba jaka panienka ze dworu, zebrała 5—10 dzieci i uczyła je w tajemnicy przed wszystkiemi. Dziedzic wtedy posyłał strażnikowi kilka rubli, prosię lub cielę, a ten domyślając się, że pewno coś tam takiego we dworze się robi, o czem on wiedzieć nie powinien, już tam często nie zaglądał. Ale z tej nauki mało dzieci mogło korzystać. Bo wielkiej gromady nie udałoby się ukryć. A i te małe dworskie szkółki, nie raz i nie dwa były wykrywane i nauczycielki rade były, jeśli tylko karę pieniężną zapłaciły. Najłatwiej taką tajną szkołę prowadzić było można w większych miastach, naprzykład w Wilnie.



Dąbrówka.



Mieczysław I—965 r.

Przed trzydziestu kilku laty, założono w tem mieście takie tajne stowarzyszenie, do którego weszło wielu ludzi dobrych i rozumnych. Stanęli do tej pracy ci wszyscy, którym serce bolało na widok biednych dzieci, wałęsających się po ulicach, wymyślających sobie nawzajem brzydkiemi słowy. Dzieci te, z próżniactwa i z ciemnoty popełniały różne brzydkie rzeczy. Wtedy małych urwisów zabierała policja, bito ich, karano, a ojcowie i matki płakali, że ta dziatwa tak bez żadnej nauki, bez żadnego dozoru rzucona, rośnie na złych i niegodziwych ludzi. Szły też czasem te biedne dzieci do szkółek rosyjskich, w których nauczyciel wyśmiewał się z nich, że są Polakami, wydrzeźniał ich mowę. Mówił im różne kłamstwa o Polsce i uczył nienawiści do ojczystego kraju i braci Polaków. Mówić po polsku, zabraniano im srodze.

Otóż tamci rozumni i dobrzy ludzie, założyli takie tajne stowarzyszenie, które miało w Wilnie zakładać *tajne polskie szkoły*. Ale szkoły bez pieniędzy założyć nie można. Trzeba było przecie i jakiś pokoik wynająć i nieraz opłacić nauczycielkę, a i dzieciom książki lub zeszyty kupić. Boć że to była szkoła dla dzieci bardzo biednych. Opodatkowali się więc dobrowolnie ci wszyscy

Polacy, którzy chcieli, by dzieci biedne mogły się po polsku uczyć. Każden dał ile mógł. Najmniejsza opłata była 2 złotówki, to jest 30 kopiejek miesięcznie. W zarządzie tajnej szkoły było kilka osób, które o wszystkiem wiedziały, wszystkiem zarządzały. Inni tylko składki płacili, lub w niektórych szkołach uczyli. Prezesem tego tajnego związku był dzisiejszy prezes Macierzy, dr. Witold Węsławski, opiekunką szkół polskich, pani Emma z Jeleńskich Dmochowska. Tak oni, jak i wszyscy ich pomocnicy narażali się bardzo, zakładając te tajne szkoły. Gdyby je wykryto, to nauczyciele karani byliby więzieniem a Zarząd wysłano by z pewnością gdzieś na Syberję, jako największych zbrodniarzy. Wiedział o tem i dr. Węsławski i pani Dmochowska. Nie obawiali się jednak. Polakami byli i śmiało dla Polski i polskiej dziatwy, podjęli się wielkiej pracy. Zbierano więc dzieci najbiedniejsze, te, których rodzice nie mogli opłacać nauki i uczono je. A wiecie, gdzie były szkoły? — W ciemnych podziemiach, w mieszkaniach ubogich ludzi i na poddaszach. Tam wszędzie, gdzie żyją ludzie najubożsi. Robiono to dla tego, że policja na mieszkania nędzarzy nie zwracała uwagi. Nie przypuszczano, że tam zbierają się dzieci do wspólnej nauki. W takich kryjówkach często i stołu i ławek nie było. Na czterech cegłach kładziono deskę od prasowania, dzieci siadały dokoła na wilgotnej ziemi i pisały na niej. A nauczycielka stała schylona nad swymi uczniami. Kryjówkę taką oświetlano małą, kopcącą lampką, lub ogarkiem świecy. Wychodząc dzieci, musiały swe książki lub zeszyty ukrywać głęboko pod ubraniem. Mimo tych ostrożności, niejedną kryjówkę wytropiła policja rosyjska. Dzieci rozbiegły się. Nauczycielka karaną była. Nigdy jednak nikt nie wyjawił, że istnieje tajne towarzystwo, które te szkoły zakłada. A żadne dziecko nigdy nikomu nie powiedziało, że się uczy po polsku w „tajnej“. Tak nazywano te małe szkółki polskie.

Sporo dzieci uczyło się w tych tajnych szkołach, a kochały je bardzo i garnęły się do nich z wielką radością i chęcią.

By i wiejskie dzieci mogły uczyć się, Zarząd w okolicach Wilna, za pomocą rozumnych gospodarzy, włościan,

potworzył w wielu wsiach takie tajne szkółki. Przyjeżdżały młode nauczycielki z Wilna, i przez zimę, mieszkając w chałupach, niby jako krewne, albo jakieś znajome gospodarzy, cichaczem uczyły dzieci po polsku. A pani Dmochowska również cichaczem przyjeżdżała wizytować te szkoły.

Trwało to długie lata. I w ten sposób jedynie z wielkim trudem i z ogromnemi wydatkami uczono dzieci.

Sporo się ludzi w ten sposób nauczyło czytać i pisać. Niepodobna jednak było w tajnej szkole wyuczyć wszystkich. Dlatego to tak wiele starszych ludzi nie umie czytać po polsku. Wolność dała wam dzieciom szkołę jawną i wy szczęśliwsi od swych ojców, tę polską szkołę kochać powinniście i garnąc się do niej z ochotą, uczyć się pilnie.

Historja Żabki.

Wylęgła się z ikry pływającej po wodzie, czyli z żabiego jajeczka. Była szeroka, płaska i miała długi ogonek, którym poruszała w wodzie jak wiosłem. Kręciła się żwawo i połykała różne okruchy, które koło niej przepływały.

Chciała koniecznie wleźć na wysoki kamień, leżący przy brzegu, gdzie stare żaby lubiły czasem wygrzewać się na słońcu. Ale nie mogła tego dokonać, bo nie miała ani jednej łapki.

— Poczekaj! — powiedziała jej mama. — Jesteś jeszcze małą i nazywasz się kijanką, gdy będziesz już dorosłą i prawdziwą żabką, to będziesz mogła naśladować starszych.

Po pewnym czasie małej kijance wyrosły dwie nóżki. Ucieszyła się bardzo.

— Teraz już jestem dorosłą i chcę robić to co mama — powiedziała sobie.

I dalejże przebierać dwuma łapkami w mule, przy brzegu stawku. Ale łapki słabe i ruchomy ogonek zaplątały się w łodygi wodnych roślinek, a nad kijanką ukazała się wielka, otwarta paszcza jakiejś ryby.

Ogromnie się przelękła i skurczyła, chowając się pod duży liść białej lilji wodnej.

— A widzisz, że jesteś jeszcze niemądrą — zarechotały stare żaby. — Powinnaś jeszcze uczyć się, poznawać nasz świat w stawku, aby wiedzieć gdzie jest niebezpieczeństwo. I trzeba ci gimnastykować swoje dwie łapki, ruszać niemi i pływać tu blisko, pod naszem okiem.

Zrozumiała kijanka, że starsi mają słuszność i zaczęła swoją żabią naukę pilnie uprawiać. Pewnego dnia ucieszyła się bardzo, bo ukazały się u niej dwie drugie tylne łapki.

— Teraz już jestem dorosła! — zaskrzeczała, ale tak cienko, że tylko mama-żaba ją posłyszała.

Zaczęła drapać się na kamień. Stare żaby uśmiechały się tylko, bo każdy dorosły wie, że na wszystko jest swój czas.

Młoda kijanka pośliznęła się koło kamienia i wywróciła się w wodzie, gdyż jej przeszkadzał ogonek i nie mogła utrzymać równowagi. Ogonek sterczał do góry i kijanka czuła, że wszystkie żaby w stawie z niej się śmieją, iż ma za wielkie na swój wiek pretensje. Z całej siły poruszała się gwałtownie, aby główkę wytknąć z wody i nagle zaskrzeczała głosem dorosłej żaby.

— Patrz, odpadł ci ogonek, już teraz jesteś dorosłą, jak wszystkie inne żaby — mówiły koleżanki żabki.— Możesz pływać i probować wejść nawet na kamień!

Ale młoda żabka, którą boki bolały, nauczona doświadczeniem, postanowiła wpierw wypróbować i wzmocnić swoje wszystkie cztery łapki, aby potem już razem ze starszemi, grzać się w słońcu na kamieniu, który wystawał z wody. Zrozumiała, że rady starszych są pożyteczne.

Ludwika Życka.



MARJA REUTTÓWNA.

Anielka.

(Ciąg dalszy).

Dziewczynce wcale się na płacz nie zbierało. I ona była zdziwioną, czego od niej chce ten żandarm, którego po raz pierwszy z bliska oglądała.

Żandarm kazał swym podwładnym zrobić rewizję w jej pokoju Sam badał ją. Pytał o rodziców, gdzie mieszkają, czem się zajmują. Potem o jej imię i nazwisko, ile ma lat, jakiego jest wyznania, do jakiej szkoły chodzi. Odpowiadała spokojnie, tłumaczyła się jasno. Gdy zapytał ją o wyznanie, podniosła na niego swe duże, czarne oczy i rzekła głośno: „Polką jestem i katoliczką“. W końcu zapytał po co przyjechała do Połuknia i co tu robi.

— Byłam chorą—odrzekła—i doktor kazał mi jechać na wieś, a babcia mnie zabrała, nic tu nie robię, bawię się w ogrodzie, jeżdżę do lasu i na pole.

— Tak? Nic panieka nie robi—powtórzył żandarm— a mnie wot taki zdaje się, że jeszcze się czemś tu zajmuje. — I mówiąc to, pokazał zdumionej dziewczynce zeszyt, zabrany u grubej Urszuli. — A eto-czto? — Mówił teraz niby po polsku, mieszając wyrazy rosyjskie.

— To pisała Urszulka — odrzekła Anielka.

— Tak, Urszulka pisała, a któż ją uczył?

— Ja — zupełnie spokojnie rzekła Anielka.

— Tak, Urszulkę, da jeszcze Józka i Salusię — mówił carski służalec — tak, że to była cała szkoła.

Pani Kalińska zdrętwiała. Teraz dopiero zrozumiała, o co chodzi. Wszakże rząd rosyjski surowo zabraniał uczyć dzieci wiejskie po polsku. A ona Anielce pozwoliła.

Tymczasem dziewczynka spokojnie tłumaczyła.

— Salusia czytać nie umie, więc chciałam ją nauczyć, a potem przyszedł Józek i Urszulka.

— I panienka ich uczyła. Tak? A panienka nie wie, że tego robić nie wolno. Nasz cesarz tego zabronił. A kto cesarza nie słucha, ten karany być musi. Szkoły zakładają! Wot kak!

— Panie łaskawy — odezwała się pani Kalińska — niechże pan tego nauką nie nazywa, a tembardziej szkołą, co jest wprost dziecinną zabawką.

W tejże chwili dwaj policjanci przynieśli jawne dowody winy Anielki. Zeszyt Józka, w którem nic innego nie było, tylko kilka stron zapisanych laskami, a potem stronica pierwszemi literami alfabetu. Na czerwonej okładce zeszytu Anielka wyrysowała Białego Orła.

— I pani Kalińska mówi, że to nic, tylko dziecinna zabawa, ja by chciał temu wierzyć, a nijak nie mogę — mówił, oglądając dowody zbrodni, żandarm. — Bo u was pany Polaki, wszystko niby nic, niby dziecinna zabawka. A potem co i Kosciuszko wasz zabawki robił, da i mąż pani i pan Szukszta, też tak przez zabawkę poszedł na Sybir. Ha co? Nieprawdaż.

Błysnęły z pod krzaczastych brwi siwe oczy „białego dziadka“ i poruszyły się duże sumiaste wąsy. Znak to był widoczny, że się gniewa.

— O tamtych przeszłych czasach, nie będziemy tu mówili — rzekł twardym głosem. — Każdy zaś przyznać musi, że to, jest dziecinną zabawą. W otoczeniu starych ludzi, nudziłoby się dziecku choremu, dało się więc jej takie towarzystwo, jakie wśród lasów znaleźć było można. Dzieci bawiły się w ogródki, w sadzenie roślin, no i niby w naukę. Krzywdy tem państwu rosyjskiemu nie wyrządzono żadnej.

— Pan Szukszta tak uważa, ale ja na to muszę z innej strony patrzeć — rzekł żandarm. — To jest poważna sprawa i ja wot etą pannę muszę ze sobą zabrać.

— Co? — zawołał pan Szukszta. — Anielkę zabrać?

Pani Kalińska zbladła jak płótno i przygarnęła dziewczynkę do siebie.

— Panie łaskawy — rzekła — chyba pan żartuje? lub grozi nam tylko? Przecie to nie tylko małoletnia, ale dziecko jeszcze.

— Polskie dzieci — odparł żandarm — już w kołysce są buntowszczykami, to ich wcześnie karać trzeba, trudno. Sami państwo winni, nie trzeba ich tego uczyć.

— Jeśli już kto tu zawinił — rzekła jeszcze pani Kalińska — to chyba ja jedna. Anielka jest pod moją opieką. Skoro jej pozwoliłam bawić się w uczenie dzieci, to już ja powinnam być ukaraną. Mnie należy zamknąć w więzieniu, nie ją. *c. d. n.*